



1.48.930

# Baśń o Sobotniej Górze.

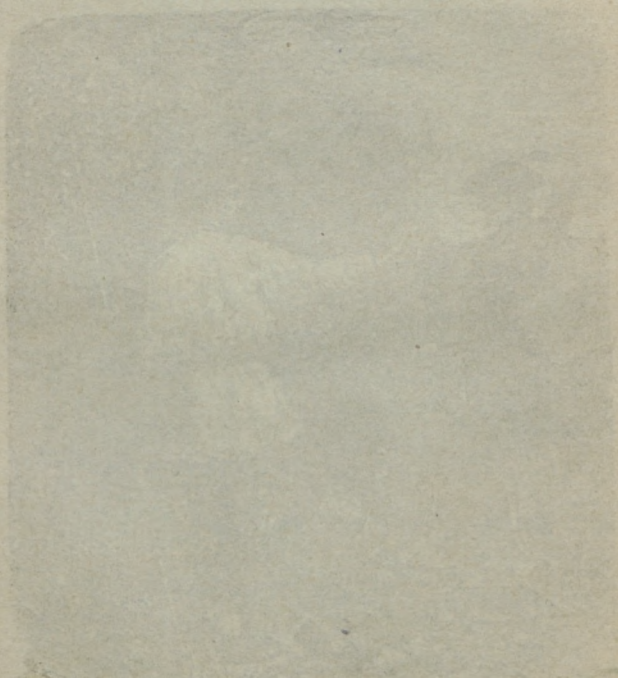
napisał

**Roman Zmorski.**



WARSZAWA

Wydawnictwo  
Książki i Piśmiennictwa  
Wydawnictwo  
Książki i Piśmiennictwa



WARSZAWA



BAŚŃ  
O SOBOTNIEJ GÓRZE.

Z PODAŃ SZŁĄSKICH

spisał

*Roman Zmorski.*



WARSZAWA.  
DRUK JÓZEFA JEŻYŃSKIEGO.  
Nowolipki Nr. 9.  
1891.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017552088

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 7 Февраля 1891 г.

1. 48.930





4

Pocziwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był przy parafialnym kościele organistą, wielce mądrym i uczonym, że czytał na każdej księżce i z pisanego — i podobno, że samby mógł kantyczki składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba! i u samego plebana. Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojciec jego przedtem, i niewiele dbając ani na mą-

drość brata organisty, ani na nowiny żołnierza: dlaczego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był. Wszyscy zaś trzej bracia, jako poczciwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością, starając się dnia każdego, by radość i wszystko dobre było z nią w starości jej.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście: niebogą starowinę porwały w nocy bolesti niezmierne, od których jęcząc, pobudziła synów, że zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć niewiedzący.

— Już no ja tutaj przy matce zosta-  
nę i czuwać będę nad nimi; a wy jeno  
bieżcie co żywo do *ładrej*, w lesie u sta-  
rej mogiły, by przyszła chorej z pomocą!  
— rzekł do braci organista.

Oni tedy górą, dołem, biegli do sta-  
rej mogiły, do spustoszonej chaty, gdzie  
*ładra* mieszkała, i, znalazłszy babę, wiedli  
w skok do wioski. Kiedy byli blisko do-



mu, patrzą, aż-ci organista stoi przed wro-  
tyma.

— A co? jak matce? — spytali.

— O! już-ci lepiej być musi, bo prze-  
stali całkiem jęczeć, leżą cichutko w łóż-  
ku, pewnie śpią...

Baba weszła do chałupy, stanęła oko-  
ło łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła,  
kiwając głową: — Iścież waszej matce le-  
piej, a nic nie boli już jej: bo oto cała  
skostniała, widać chwila, jak już zmarła. —

Na te słowa w chałupie powstał la-  
ment niesłychany. Wszyscy trzej syno-  
wie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścia-  
nę i rękoma rwąc do krwi ciało tak  
okropnie, że aż baba, co jako żywa ni-  
gdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie  
widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżeli tak straszny po mat-  
ce wam żal, toć wiem jeden jeszcze spo-  
sób wrócić ją do życia; będzili tylko któ-  
ry chciał narazić własnego żywota? Po-  
módz jej może choćby kropla żywej wody,  
co za trzema puszciami bije na Sobotniej



Górze, zpod gadającego drzewa, na którym siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedem dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wnieść na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał; broń Boże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć poza siebie: w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chceli z was który szczęścia próbować? Niechajże pójdzie przynieść z tamtąd wody, a matka wasza żywa będzie znów. Droga do góry za południem słońca. —

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że



w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się byle czego nie zleknę i choćby djabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójdę, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego, z żywą wodą naszej matce.—

I, pożegnawszy bracię, przypasał wielki miecz do boku swego i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minał dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień się ku końcowi miał. Bracia, w domu pozostali, wyglądają niecierpliwie: żołnierza znikąd ni widu, ni słychu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby po radę, czemu tak długo brat ich nie powraca.

— Daremnie go czekacie,—odpowie im mądra baba,—już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty...

Zafrasowali się okrutnie bracia, a po-



wracając do domu, spojrzeć się ze sobą  
wzięli, któremu teraz iść w drogę po  
żywą wodę dla matki? Lecz organista  
rzecze z urąganiem:  
— Co? ty?—ty, głupcze! tybyś miał  
tam wskórać, gdzie twój brat nie wskó-  
rał? Lepszej tam głowy potrzeba, żeby  
się nie dać zwieść szatańskiej mocy. Jać  
to wiem dobry sposób na djable pokusy:  
niechno tam tylko pójde z kropidłem  
a zaknę biesa po łacinie, zobaczysz, czy  
mi podola!

I wzięwszy na się kropielnicę z ko-  
ścioła, worekę kropidło, książkę za nadrę,  
ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci, —  
tydzień cały; brat młodszy próżno wypa-  
trywał z chałupy za swoim najstarszym:  
ni go widu, ni go słychu... Biegł tedy  
znowu do baby po radę, co o znaczy, że  
brat nie wraca?

— Daremnie za nim nie czekaj! — od-



powiedziała mu baba, — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myśląc, biegł co tchu do domu i, wzięwszy bułkę chleba do opalki, kosę sobie nastawiwszy, przewiesił je przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień, o zachodzie słońca, stanął pod Sobotnią Górą. Stanąwszy, pojrzy: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, — jakby jedno na drugim wyrastało: sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomędzy niemi, na ziemi, gąszcz cierni, głógów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mchów, pośród nich żmij,



padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki, ni drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniął na matkę swą martwą i, wzięwszy Boga na pomoc, począł się drapać ku górze. I darł się coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, na żmije, co mu nogi obwijają, kłusząc żądły bolesnemi; ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kłocami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym swym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga.

Już, już co się miał obejrzeć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej babki i, nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, zjawi się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry, — rzecze kusy, zdej-



mując grzecznie trzyrożny kapelusz,—a dokąd to, przyjacielu?

— Juści że nie gdzie, jeno na tę górę,—odpowie syn wdowi.

— A czego to wam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę za tą wodą. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcecie.

— Ale nie tą przecie drogą! Poco tu drzeć się i krwawić, kiedy, spojrz na lewo, wygodnie drogą iść można.

Wdowi syn spojrział na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę!—nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdź bo!

— Mówię ci, że nie pójdę.



— To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku! — Zazgrzytnął z wściekłością Niemczyk, odskoczył w stronę i zniknął...

Wdowi syn piał się, jak począł, przed siebie, aż wtem posłyszcy za sobą nagle trzask i hałas niesłychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca sfór psów i wilków, i szczwanie diabelskim głosem: huź go ha! huźha! huhza!... Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już to za nim, już oto za nogi go chwytają... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, alie wspomniał sobie na rady *mądrej* i, zamiast poza siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłośny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć z przestachu, a oto już idzie strach nowy. Razem, wśród ciemności nocnej, taki od wierz-



chu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło. Zdziwiony podniesie głowy i widzi, że las całutki, co na jego drodze stoi, płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco, jeszcze zdaleka, poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy, jak rozpalone główne w kominie, całe roziskrzone, padały z trzaskiem jedna na drugą, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok, ogarnął go strach okropny; lecz kiedy wspomniął na swą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w żarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep poprzód siebie: aż cały zziajany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

Wyszedłszy, spojrz przed siebie: aliści i wierzch już blisko! Lecz gdy raz





wtóry spojrzy znów ku górze, radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę, jako ściana prostą, sterczącą wśród drogi swojej. Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, — tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u wnijscia jej śpi, chrapiąc, straszny siedmiogłowy smok... Wdowi syn zcicha podkradać się począł, chcąc we śnie groźnego potwora zabić. Ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, zaryczał wszystkiemi siedmioma paszczami, aż się wstrząsła góra cała, i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu. On też, nie czekając, poskoczył naprzeciw bestyi: siedm razy kosą świsnął, — a ciało, to padnie łeb smoczy i, krwią pluszcząc, w dół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smoczą jama była straszna, ciemna aż czarno, siarczystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach



kołem stanął, przyschły do podniebienia od pragnienia i duszącego paru. Wtem, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z rozpadliny skały, ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Spojrzał ciekawie i oto widzi ogromną jaskinię, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród precudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilij wonnych. Na murawie drzewa różne, z rumianami owocami, chyla się ku srebrnej strudze... Zgłodniałem, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów ze ściany skały jasność go uderzy, i przez wązką rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa, na złotym łańcuchu, paliła się u sklepienia, a wokoło ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe, napełnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami najdroższymi. Ale wdowi syn nie był chciwy: ani się więc kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.



I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszycudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików, a przez rozwarłe naościęz w boku opoki podwoje, świeci się sala złoci-sta. Wśród niej, po miękkich kobiercach, dziesięć dziewic urodziwych, w przeczoczystych jak mgła sukniach, płasapocudnej muzyce, przyspiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, co najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, poczęła się doń wdzięczyć mile. Ale młodzieniec pozostawił we wsi swej dziewczynę, liliję białą, ukochaną serca: więc gdy sobie na nią wspomniał, zasłonił ręką oczy i poomacku szedł dalej, aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię. Zaledwo ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem i on wyszedł na dzień biały, na sam szczyt Sobotniej Góry.

Stanąwszy, spojrzyciekawie po wierzchołku góry i widzi wszystko, jak mu rze-czono było. Na nagiej, bydłoń, opoce,



rośnie jedno tylko drzewo, ze srebrzystymi listkami, któremi szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; zpod krzywych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, a na najwyższej gałęzi sokół się chwieje złocisty.

Złoty sokół, za ledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął brzęczącymi piórami, roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, aż gdzieś znikł między chmurami.

Wdowi syn, cały z sił spadły, ledwie że się podolał zawlec pode drzewo i, upadwszy na opokę, począł pić chciwie z krynicy. Alić ledwie jej usta tylko dotknął, jakby nanowo na świat się narodził, poczuł w całym swym ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu najmniejszego nie zostało. Zerwał się tedy wesoło na nogi i, stanawszy pode drzewem, przy jasnym porannem słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrzął z wysokości na świat boży. Wokoło góry pola, lasy, wody, wioski, zamki,



grody wielkie, takim mnóstwem, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, a tak cudny, że zda się patrzeć na niego sto lat całe, nie napatrzyłby się jeszcze dosyć..

Gdy, upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłyszysz nad sobą szum skrzydeł i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dziobie, z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiło głośniej, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Weźmij dzban ten chłopcze młody!  
Naczerp z źródła żywej wody,  
Gałąź ze mnie sobie złom,  
I powracaj zdrów do dom.  
A gdy będziesz do dom iść,  
W żywej wodzie maczaj liść,  
Kędy krokiem stawisz nogę,  
Święć dokoła sobie drogę“.

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął dzban złoty, naczerpał w niego przezroczystej wody, ułamał sobie z śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił,



stawając maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.

I oto stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek i, radując się i błogosławiając mu, szedł za nim... Im niżej spuszczał się tak święcąc, tem bardziej, za każdym krokiem, rosła ćma ludzi z kamieni odklętych; a gdy, stanawszy u stóp góry, obejrzał się poza siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy, idąc różnemi czasy na Sobotnią Górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień obróceni zostali. Byli zaś tam mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy, i także obaj szczęśliwego chłopka bracia: rycerz z mieczem koło bioder i organista z kropielnicą a kropidłem... Cała ta gromada poczęła dziękować razem zbawcy swemu, że ich uwolnił z zaklęcia, coby zapewne aż do sądneho dnia trwało, ślubując mu, iż



go nigdy już nie odstapia, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

Szli zatem, wielkim taborem, za wiodącym ich młodzieńcem, aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał. Stąpawszy pod chałupą swoją, otwarł drzwi, podszedł ku posłaniu matki i martwe od trzech niedziel zwłoki skropił gałązką mowiącego drzewa, zmoczonego w żywej wodzie... A oto, nie czekając chwili, staruszka otwarła oczy i powstała rzeźwa, jak gdyby nigdy nie chorzała. Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy i nie było miary uniesieniom i uciezce zgromadzonego mnóstwa...

Tymczasem, na miejscu lichej owej wioszczyny, stanęło rychło ludne i okazałe miasto, a wpośród niego zamek pyszny, w którym syn wdowi, pojawiwszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując mnogiemu i wdzięcznemu ludowi...





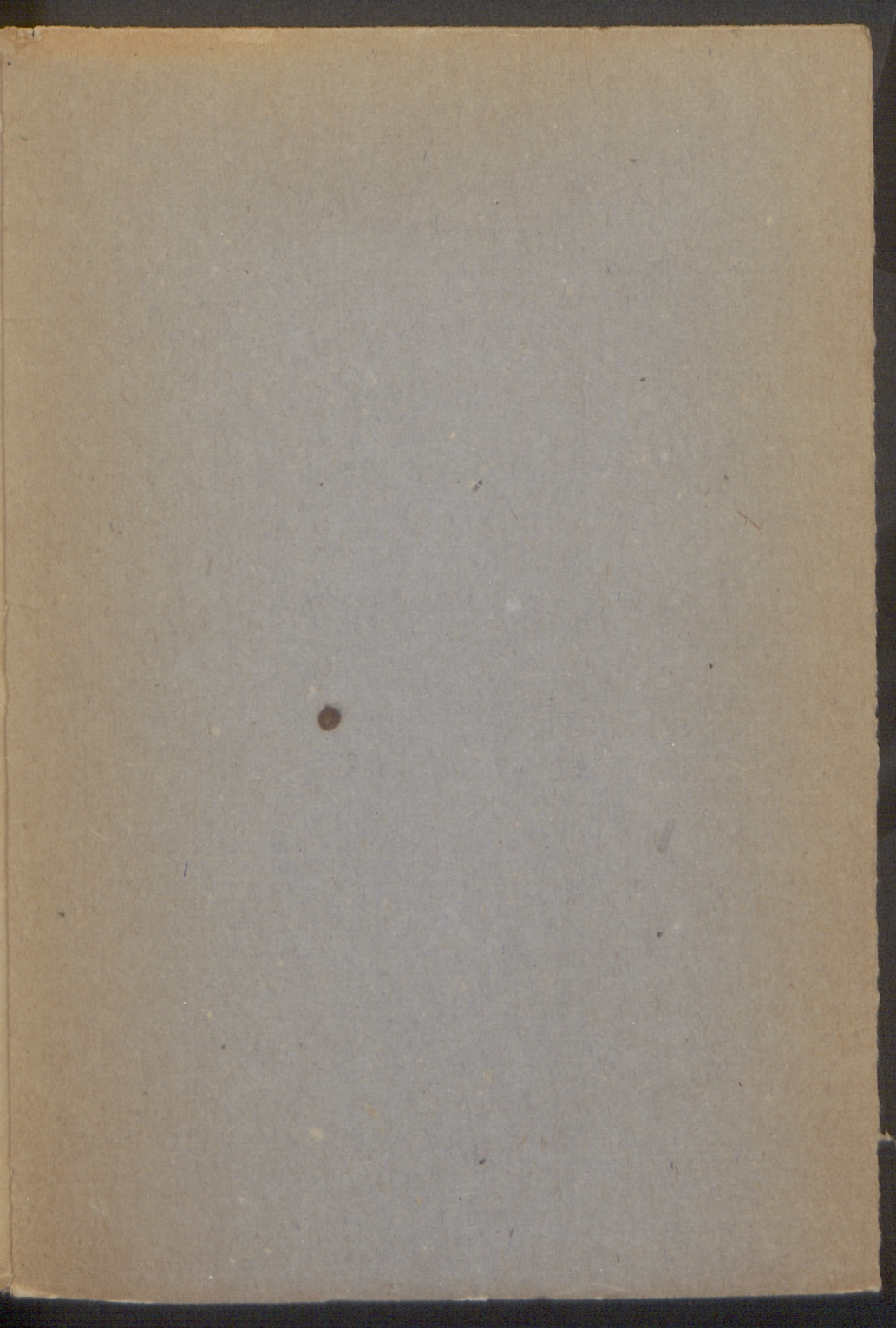
1. ...  
2. ...  
3. ...  
4. ...  
5. ...  
6. ...  
7. ...  
8. ...  
9. ...  
10. ...  
11. ...  
12. ...  
13. ...  
14. ...  
15. ...  
16. ...  
17. ...  
18. ...  
19. ...  
20. ...  
21. ...  
22. ...  
23. ...  
24. ...  
25. ...  
26. ...  
27. ...  
28. ...  
29. ...  
30. ...  
31. ...  
32. ...  
33. ...  
34. ...  
35. ...  
36. ...  
37. ...  
38. ...  
39. ...  
40. ...  
41. ...  
42. ...  
43. ...  
44. ...  
45. ...  
46. ...  
47. ...  
48. ...  
49. ...  
50. ...



**Poleca się następujące ciekawe, pożyteczne  
a TANIE WYDAWNICTWA, które nabywać można  
we wszystkich księgarniach w Warszawie i na  
prowincyi oraz u wędrownych kramarzy.**

1. Snopek, książka do czytania dla dzieci wiejskich, z obrazkami, p. R. M.
2. Podarunek dla młodzieży, książka do czytania, z obrazkami, wy-  
danie trzecie, ułożył W. Olszewski (M. Brzeziński).
3. Opowiadania o ciekawych i pożytecznych rzeczach, W. Olszewskiego—  
wydanie drugie (wyczerpane).
4. Stara baśń, powieść z dawnych czasów—skróc. F. M. (wyd. 2 z rys. .)
5. Kurpie, opowiadanie historyczne, napisał Tomek Piast—(wyczerpane).
6. Kuźma Jeź, opowiadanie z dawnych czasów, skróciła F. M.
7. Sprawa o wóz, czyli historia o jednym wójcie i jego pisarzu—p. W.  
Olszewskiego. (M. Brzezińskiego)—z obrazkami.
8. O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził —  
z „Placówki” B. Prusa skróciła F. M.—z obrazkami.
9. Bandoska, obrazek z życia, przez W. Olszewskiego.
10. Grzeź niepiśmienny, powiastka p. Michała Bałuckiego, z obrazkami.
11. Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka —p. A. Dygasa.
12. Opowiadanie o urwisie Dyrduśiu —p. Janka z Bielca (J. K. Gregorowicza).
13. O rolę—powiastka przez W. M. Morzkowską.
14. Prawdziwa historia o Szymku—napisała Antoszka, 2 wyd.
15. Co robić, aby być zdrowym i długo żyć? napisał Józef Zielczak, 2 wyd.
16. Co robić, gdy kto zachoruje? napisał Józef Zielczak, 2-ie wydanie.
17. Nauka rachunków dla samonków, napisał S. Różański, 2-ie wyd.
18. Maszyny parowe i koleje żelazne, napisał M. Brzeziński 2-ie wyd.
19. Pogadanki o niebie i ziemi, przez H. W. (wyczerpane).
20. Pogadanki o owadach, spolszczył W. Olszewski.
21. Bajki, nie bajki, zebrał M. Brzeziński,—z rys. F. Kozłowskiego.
22. Michałko, opowiadanie Bolesława Prusa, z obrazkami.
23. Młyn na pokusie, opowiadanie p. Iskierkę, z obrazkami.
24. Czarownica, skrócone z pow. Orzeszkowej „Dziurdziowie” —z obrazk.
25. Za smyrą, czyli herszt szwarcowników, p. M. Waligórska.
26. Krasula, opowiadanie p. M. z Soleckich Błotnicką —z obrazkami.
27. 30 morgów, opowiadanie p. Wicka z Warszawy —z obrazkami.
28. Małgorzatka, matusina pieszczoška —p. A. Dygasa —z obrazkami.
29. Chłopski adwokat, skróc. z pow. E. Orzeszkowej „Niziny”.
30. Cygańskie dziecko, skr. R. M. z pow. J. I. Kraszewskiego „Chata za wsią”
31. Nasi przyjaciele i wrogowie wśród ptaków, z K. Wodzickiego i W. T. i-  
czanowskiego wybrał M. B.
32. Jurgis Durnialis, powiastka przez Brolisa—z obrazkami.
33. Na służbę Bożą—powieść Br. Grabowskiego z obrazkami.
34. Duchy czarnego boru czyli kamienne serce—z obrazkami.
35. Ratowanie bydłęcia odętego—napisał K. Duleba.
36. Tanie a dobre narzędzia rolnicze — napisał dla włościan K. Duleba.
37. Łubin, jego uprawa i pożytek dla gospodarstw włośc.—p. M. Dobrski.
38. Ospa i jej szczepienie—napisał Dr. A. P.
39. O wściekliwość—napisał dla ludu Dr. O. Bujwid.
40. Co to są choroby zaraźliwe i jak się od nich uchronić?—p. Dr. Ad. Ch.
41. O Krzysztofie Kolumbie i odkryciu Ameryki—przez J. S.
42. Romanowa, opowiadanie E. Orzeszkowej.
43. Baśń o Sobotniej-Górze—p. R. Zmorzkiego.
44. Listy z Brazylii,—pisane przez wychodźców — zebrał A. P.
45. Brazylja, jej przyroda i mieszkańcy—napisał Paweł Sosnowski.
46. Pogadanki o niebie i ziemi, przez H. W. wydanie II z 20 rysunkami.
47. Z życia ludów starożytnych. I. Egipcyanie — p. R. M.
48. Przygody myśliwca —wśród śniegów północy i lasów południa —p. M. B.





48930

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017552088